

KAMILA SŁAWIŃSKA

Nowy Jork

przewodnik niepraktyczny



**KAMILA  
SŁAWIŃSKA**

(ur. 1972) – studiowała historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim, była związana ze stołecznym Centrum Sztuki Współczesnej. W 1998 roku wyjechała do Nowego Jorku, gdzie mieszka do dziś. Od 1999 roku jako publicystka i recenzentka filmowa współpracowała m.in. z redakcjami „Świata Filmu”, „Filmu”, „Arte” i „Cinema”. Obecnie publikuje na łamach „Tygodnika Powszechnego”. *Nowy Jork. Przewodnik niepraktyczny* to jej książkowy debiut.



**KAMILA SŁAWIŃSKA**

**Nowy Jork**

Max Cegielski  
*Pijani Bogiem*

Barbara Ehrenreich  
*Za grosze. Pracować i (nie) przeżyć*

Adam Elbanowski  
*Nowe Królestwo Grenady*

Marc Fernandez, Jean-Christophe Rampal  
*Miasto – morderca kobiet*



t e r r a i n c o g n i t a

Tony Horwitz  
*Błękitne przestrzenie*

Wojciech Jagielski  
*Dobre miejsce do umierania*  
*Modlitwa o deszcz*  
*Wieże z kamienia*

Krystyna Kurczab-Redlich  
*Głową o mur Kremla*

Cees Nooteboom  
*Drogi do Santiago*

Åsne Seierstad  
*Księgarz z Kabulu*

Fabienne Verdier  
*Pasażerka ciszy*

Marcin Wojciechowski  
*Pomarańczowy majdan*

Xue Xinran  
*Dobre kobiety z Chin*

**KAMILA SŁAWIŃSKA**

**Nowy Jork**

**przewodnik niepraktyczny**

**w**  
ydawnic  
**ab**  
two

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2008

Wydanie I  
Warszawa 2008

*Rodzicom  
i Robertowi, bez którego Nowy Jork by nie istniał*



CHINA

JAPAN

RUSSIA

PACIFIC OCEAN

LOS ANGELES

LAS VEGAS

UTAH

NEBRASKA

KANSAS CITY

Chicago

MEXICO

TEXAS

CANADA

WASHINGTON DC

JERSEY HUDSON RIVER

10TH AVE

9TH AVE

STEINBERG

## prolog na zachód od Dziewiątej Alei

**O**dpakowałam prezent urodzinowy. Była to moja upragniona litografia, odbitka słynnej grafiki Saula Steinberga, wykonanej dla „New Yorkera” i opublikowanej po raz pierwszy na okładce tego tygodnika w marcu 1976 roku. Steinberg – rumuński Żyd, urodzony w małej wiosce gdzieś na południe od Bukaresztu, którego z Europy wyгнаł wojenny kataklizm – przyjechał do Nowego Jorku w latach czterdziestych. Pracował dla „New Yorkera” jeszcze przed wyjazdem z rodzinnego kraju, był więc w lepszej sytuacji niż inni, którzy przyjechali w tym samym czasie do nękanego Wielkim Kryzysem miasta: miał pracę w jednym z najbardziej wpływowych pism w Stanach Zjednoczonych. W Mieście\* natychmiast poczuł się u siebie i wkrótce dołączył do grona tych, których wizja Wielkiego Jabłka tworzyła jego legendę – obraz, w który uwierzyły, i do dziś wierzą, miliony ludzi na całym świecie.

Słynny *Widok świata na zachód od Dziewiątej Alei* oddaje nowojorski punkt widzenia lepiej niż którekolwiek dzieło, jakie zdarzyło mi się oglądać. Oto cała prawda o nas, nowojorczykach, miejskich szczurach i niepoprawnych snobach. My na

---

\* „Miasto”, czy The City, to jedno z przezwisk, pod jakimi znany jest Nowy Jork. Lista nowojorskich *nicknames* znajduje się w Słowniczku.



zachód od West Side Highway widzimy tylko olbrzymią płaską pustynię, na której nie ma nic godnego uwagi. Na zachód od lewego brzegu wyspy Manhattan rozciąga się obcy kraj, którego nie znamy i znać nie chcemy. Mimo że statystycznie podróżujemy więcej niż przeciętni Amerykanie, to raczej nie wybieramy się ku sercu Ameryki. Zresztą trudno nam się dziwić: jest tajemnicą poliszynela, że Ameryka od dawna uważa Nowy Jork za obce, zagraniczne miasto. Może zapomniała się na moment, poruszona wydarzeniami jedenastego września, kiedy ogarnięta współczuciem wysyłała nam czeki, ciepłe skarpety i flagi narodowe, ale tak naprawdę od lat nienawidzi naszej drużyny baseballowej, bo ta była niepokonana w walce o krajowe mistrzostwo i bez cienia wyrzutów sumienia podkupywała najlepszych zawodników innym zespołom. Nienawidzi naszego kosmopolityzmu, naszych liberalnych poglądów, naszych artystowskich gustów. Zdrowe serce narodu, który „wydobył się z dziczy dzięki Biblii i strzelbie”, bije innym niż nasze rytmem: rytmem, którego – samowystarczalni – nigdy nie słuchaliśmy, i może dlatego tak nas przygnębił wynik ostatnich wyborów prezydenckich. Jesteśmy obcym krajem, pięćdziesiątym pierwszym stanem, może nawet osobnym układem gwiazdowym orbitującym wokół wyspy. Nazywamy większość „milczącą”, bo nigdy nie słuchaliśmy, co mówi, ani ona nie słuchała nas. Nie zauważyła też, kiedy kupiła nową wersję amerykańskiego snu – reklamówkową wizję szczęśliwości wyprodukowaną w salach konferencyjnych Madison Avenue... Ale to już inna historia.

To miejsce, tutaj, Pięć Dzielnic, niecałe pięćset mil kwadratowych powierzchni, położonej w znacznej części na wyspach – to nie jest Ameryka. Wiedział to już Henry Hudson, pierwszy Europejczyk, który dopłynął do brzegów tego kawałka świata i postawił stopę na skrawku lądu nazwanym później Manhattanem. Dzielny żeglarz był przekonany, że dotarł do

Chin, i nawet jeśli za jego czasów nie było Chinatown i niezliczonych azjatyckich restauracji na dole Miasta, trudno powiedzieć, by Hudson bardzo się pomylił.

Czy mam prawo mówić „my”? Nowojorczycy są tak różni – mówią mnóstwem przeróżnych języków, pochodzą ze wszystkich możliwych regionów Stanów Zjednoczonych i z niezliczonych krajów świata. Biali, czarni, brązowi, żółci i czerwoni; kobiety i mężczyźni, starzy i młodzi. A jednak myślę, że mają ze sobą więcej wspólnego niż mieszkańcy któregośkolwiek innego wielkiego miasta na świecie. Tak się dziwnie składa, że Nowy Jork to miejsce, w którym prawie nikt z jego mieszkańców się nie urodził. Nowojorkczykiem każdy się staje, kiedy się tutaj osiedla. Większość przybyła gnana pragnieniem innego życia, wolą wymyślenia siebie na nowo. Nawet jeśli amerykański sen, w jaki wierzyli emigranci lat trzydziestych, oficjalnie należy do przeszłości, tutaj marzenie trwa.

Nie ma drugiego miejsca na świecie, dokąd ciągnęłyby tak przeróżne egzemplarze ludzkiej menażerii. Przyjeżdżają tu dzieciaki zbyt mądre i zbyt zdolne, by umiały się porozumieć z rówieśnikami w Utah czy Nebrasce. Europejscy arystokraci i azjatyccy bogacze, zbyt znudzeni wygodnym życiem, by nie zaryzykować upadku na samo dno. Przestępcy zbyt zuchwali, by wystarczało im wykradanie paru dwudziestodolarówek z kasy miejscowego sklepiku; *drag queens*, które w małych miasteczkach obrzucano kamieniami; artyści zbyt odważni, by znaleźć publiczność gdzie indziej; imigranci zbyt biedni, by mieć coś do stracenia. Nie ma ludzi zbyt dziwacznych jak na nowojorskie warunki. Najbardziej niedopasowani mogą tu znaleźć miejsce dla siebie, jeśli tylko starczy im sił, by marzyć zuchwale (bo tylko najzuchwalsze marzenia się tutaj spełniają) i walczyć o siebie. Miasto wysysie z nich ostatnią kroplę krwi, najostatniejszą iskrę energii, ale pozwoli im żyć w szaleńczym tempie, nigdy nie zwalniać, nigdy nie patrzeć wstecz.

Im bardziej poczują się w domu w tym dziwnym, niepodobnym do innych Mieście, tym bardziej nie będą mogli żyć gdzie indziej. Ameryka jest zbyt amerykańska: zbyt pryncypialna, zbyt przywiązana do purytańskich wartości, zbyt skłonna do nieustannego umartwiania się. Europa – zbyt mała i zbyt powolna, by stanowić wyzwanie. Azja – mimo obfitości egzotyki – nie zawsze dostarcza niezbędnego miejskiemu szczyrowi komfortu. Australia jest zbyt prowincjonalna... Kiedy nowojorczyk wyjeżdża ze swojego Miasta na zawsze, choćby był dotąd nim zmęczony i znudzony ponad wszelką miarę, z nagłym przerażeniem zaczyna rozumieć, że utracił kawałek siebie. I to, że New Yorker to narodowość. Ba, nawet więcej: to wyznanie, dożywotnie członkostwo w hermetycznej sekcji szaleńców, którzy oddali Miastu najlepsze lata swego życia, zgodzili się na niebotyczne koszty utrzymania, zatrucie środowiska, ciasnotę, by w zamian dostać najdziwniejszy z narkotyków: nowojorski *cool*.

A kiedy odbierze im się ten szum krwi w uszach, ten nieustający kołowrót zdarzeń i wrażeń, przystają nagle – opuszczeni, smutni, mimo najlepszych chęci na nowe, inne życie – ze złamanym sercem. Mogą się do tego nie przyznać, są na to zbyt twardzi i zbyt dumni, ale nie śpią po nocach, patrzą w stronę Big Apple i jęczą jak Francis Scott Fitzgerald, kiedy utracił swoje czarodziejskie Miasto: *Come back, come back, o glittering and white!*\*

---

10 \* „Wróć, wróć, lśniące i jasne!” Tym zdaniem Francis Scott Fitzgerald kończy swój słynny esej *My Lost City* (Moje utracone Miasto).



Saul Steinberg, *Widok świata na zachód od Dziewiątej Alei*



Wieża ciśnień pod flagą biało-czerwoną, Greenpoint

**spacer emigracyjny**

## toń albo pływaj

Co tu dużo mówić, nie była to miłość od pierwszego wejrzenia.

Dzień, w którym tu przyjechałam, pamiętam jak luźne strzępki zdarzeń: po dziewięciu godzinach lotu wszystko widziałam jak przez mgłę, nawet odebranie walizki z karuzeli było nadludzkim wysiłkiem. Szłam niekończącym się korytarem jednego z terminali JFK ku stanowisku oficerów imigracyjnych, zdenerwowana, zastanawiając się, czy wystarczy im jedno spojrzenie, by przejrzeć mnie na wylot i domyślić się, że przyjechałam, żeby zostać.

Urzędnik był grubawy, mówił z charakterystycznym brooklyńskim akcentem, ale wtedy nie mogłam jeszcze tego wiedzieć. Ujął w parówkowształtne palce moją wypęloną drżącym pismem *boarding card*, z adresem, pod którym zamierzałam się zatrzymać: numer, ulica, New York, Brooklyn, NY, kod pocztowy.

– Oj, nieeeee! – pokręcił głową. – To jest na Brooklynie, nie w Nowym Jorku. Nowy Jork jest za rzeką, wiesz? *You have to swim to get there!* – Czerwony flamaster zamazał moje kulfony i wpisał adres poprawnie. A kiedy już zaczynałam się martwić, że oto zdemaskowano mnie, że zaraz mnie wyprowadzą z rękami na karku, że każą wracać, ciężki stempel trzasnął o kartkę paszportu. *Welcome to New York, and enjoy your stay!*

Tak oto nieznaną mi z nazwiska urzędnik instytucji, którą wkrótce znienawidziłam, wprowadził mnie w pierwszą nowojorską tajemnicę – zasadę, którą powinien opanować każdy, kto jako imigrant przybywa do Big Apple: że najdłuższa droga na świecie prowadzi z Brooklynu na Manhattan.

Błada, zmęczona, niepewna wtoczyłam się z moim paskudnym kuferkiem do hali przylotów. Czy wspominałam już, że rzuciłam pracę, opuściłam wynajęte mieszkanie, rodzinę

i przyjaciół po to, żeby przyjechać do człowieka, którego nigdy w życiu nie widziałam i nawet nie miałam pojęcia, jak wygląda? No więc tak zrobiłam. Wsiadliśmy do pożyczonego samochodu i ruszyliśmy do miejsca, które odtąd miało być naszym pierwszym wspólnym domem.

Byliśmy obydwój tak wzruszeni, że żadne z nas nie spojrzało dokładnie na mapę. Więc objechaliśmy pół Brooklynu, kawałek Manhattanu i zahaczyliśmy o Staten Island, zanim udało nam się tam dotrzeć.

Pierwsze miesiące w nowym miejscu nie należały do przyjemnych. Szczerze mówiąc, nie było dnia, żebym się nie zastanawiała, czy nie wrócić. Wszystko było zbyt duże, zbyt szybkie, obce – kolory, znaki drogowe, nazwy towarów w sklepach, nawet powietrze pachniało inaczej. Ludzie byli zajęci swoimi sprawami, nieznani, odlegli. Najgorsze jednak, że stałam nagle wobec perspektywy niemoty. Mimo że znałam język całkiem przyzwoicie, zbyt często czułam się jak dziecko próbujące uczestniczyć w rozmowach dorosłych. Zdarzało mi się nagle rozplakać z bezsilnej złości, kiedy w połowie zdania zabrakło mi przymiotnika albo jakiegoś zwrotu.

A do tego wszystkiego byłam nielegalna. Życie bez zawodowego zaangażowania było puste i frustrujące. Tymczasem gdziekolwiek poszłam, na nic było moje doświadczenie, listy z rekomendacjami, wykształcenie. W redakcjach polskich gazet tracili zainteresowanie. W dodatku uregulowanie mojego statusu imigracyjnego zapowiadało się na długą i bolesną przeprawę.

Pieniądze na koncie się kończyły, amerykańskie jedzenie było paskudne, tęskniłam za rodziną i wszystkimi ludźmi, których znałam, a R. przez całe dni był w pracy, więc nie mógł mnie pocieszać. Przysięgam sobie, że raczej wrócę jak niepyszna do ojczyzny, niż zdecyduję się na typową karierę nielegalnych Polek: sprzątanie w bogatych domach.



– Masz – powiedział R., dając mi swoją kartę Social Security, dokument niezbędny do podjęcia w Stanach legalnego zatrudnienia. – Zeskanuj, przysiądź, naucz się paru programów graficznych i zrób sobie fałszywkę. Potem coś wymyślimy.

Przysiadłam. Miesiąc później miałam programy graficzne w małym palcu, ale fałszywka ciągle nie wyglądała tak, jak powinna. Na szczęście zanim ją wyprodukowałam i dałam się z nią przyłapać, zadzwonił znajomy i powiedział, że zarekomendował mnie do pracy. Jedyne, co interesowało pracodawcę, to dobra praktyczna znajomość tych programów graficznych, na których od miesiąca dokonywałam pogwałcenia przepisów federalnych...

Jaki morał z tej historii? Właściwie żaden. Miałam kupę szczęścia, które jest tutaj ważniejsze niż cokolwiek innego. Dlaczego mnie się udało, a tylu innym nie? Przecież codziennie przyjeżdża ich miliony: młodszych, ładniejszych, bardziej zdeterminowanych, z twardszymi łokciami i lepszymi znajomościami. Im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że jedyne, w co warto się zaopatrzyć przed wyjazdem do tego okrutnego miasta, które złamało tyle serc i pogrzebało tyle marzeń, to bezczelne przywiązanie do wysokich standardów i wola wymyślenia sobie całkowicie od nowa. Po morderczej walce, jaką trzeba stoczyć, żeby jako tako utrzymać się na powierzchni, świadomość, że przetrwało się w Nowym Jorku, potrafi człowieka uskrzydlić jak mało co na świecie. I dopiero wtedy, jakby z wdzięczności za darowane życie, zaczyna się kochać to miasto niezdrową, namiętą miłością.

Po to chyba istnieje to dziwne, bezlitosne miejsce: by być wyzwaniem i nieustającą szansą dla każdego, komu starczy sił, by zacząć wszystko jeszcze raz i walczyć o to, co sobie wymyślił. Jesteś Europejczykiem, a chcesz być Jankesem? Proszę bardzo. Byłeś księgowym, a chcesz zrobić karierę jako awangardowy artysta? Nic trudnego. Urodziłeś się mężczyzną, a chcesz być seksowną kobietą z dużym biustem? *No problem.*

O ile tylko stać cię, przybyszu, na skok w czarną otchłań, na postawienie wszystkiego na jedną kartę, na otwarcie się na najdziwniejszą okazję, która zastuka do drzwi. Jak tutaj mawiają: *sky is the limit*.

Na stacji Union Square zaczarowała mnie grupa bębniarzy. Grali tak, że aż chciało się tańczyć, i śpiewali pięknie zgranymi głosami w jakimś afrykańskim języku. Zajął mi dobrą chwilę, zanim dostrzegłam, że najdrobniejszy z nich, siedzący w środku, z kopą czarnych dredów chłopak to Japończyk. Wyglądał na tak pochłoniętego grą i śpiewem, jakby ta niesamowita, porywająca piosenka, którą właśnie grali, była melodią z jego ojczystych stron, muzyką, z którą wyrósł, która od zawsze stanowiła część jego życia. Nieprawdopodobnie radośnie grali. Tak radośnie, że po kilku sekundach wiedziałam już na pewno, że nie wsiądę do nadjeżdżającego właśnie pociągu. Ani do następnego. Ani do jeszcze następnego.

## **imigranckie gadanie**

Najpierw jest coś jak niespodziewany skurcz, czy może ból odciętej ręki: nie ma to nic wspólnego z wolą lub jej brakiem, po prostu pojawia się i trwa. Wysiadywanie przy komputerze w oczekiwaniu na wiadomości z Polski; straszliwy smutek i uczucie porzucenia, jeśli nie nadchodzą. Nawykowe czytanie polskich gazet, choć dla biegu rzeczy tu i teraz ich zawartość nie ma najmniejszego znaczenia, ale język „New York Timesa” jest ciągle zbyt hermetyczny, a telewizja drażni tematami, które nic a nic nie obchodzą, przywoływaniem nazwisk, które nie niosą żadnych skojarzeń. Co tydzień wyprawy na Greenpoint po znajome słodycze, polską wędlinę, soki z Horteksu. Upokarzające dopraszanie się każdego rozmówcy, by powtarzał to, co właśnie powiedział – dwa, czasem trzy i cztery razy. Pierwsze święta Bożego Narodzenia bez rodziny, wcale nie tak wesołe, jak być powinny. Uczenie się w najbar-

dziej dosłowny i bezpośredni sposób, co oznacza wykorzenie.

A potem zaczyna się zapominać – i samemu zostaje się zapomnianym. Najpierw po kilku miesiącach, czasem po roku, wylatują z głowy znane kiedyś na pamięć numery telefonów. Potem pod stosem nowych wiadomości o topografii i specyfice miejskich środków komunikacji wietrzeją z zakamarków pamięci nazwy ulic dobrze znanego miasta, numery autobusów i tramwajów, trasy i nazwy przystanków z dziesiątki razy pokonywanych marszrut. Później zapomina się o urodzinach kogoś bliskiego. To, że ktoś zapomniał o naszych, też już boli mniej. Życie Za Wodą toczy się własnym rytmem: znajomi robią karierę albo dzieci, biorą kredyty, przestają wychodzić z domu w piątkowe wieczory.

Wreszcie po kilku latach, idąc któregoś ranka ulicą, nagle uświadamiam sobie, że myślę po angielsku. I kiedy to do mnie dociera, przychodzi mi do głowy, że mieszkanie w jakimś kraju jest przede wszystkim mieszkaniem w jego języku, co nie się ze sobą nieoczekiwane konsekwencje.

Mój mózg, od pierwszej chwili nastawiony pozytywnie do mieszkania w innym kraju, przerabiał w miarę sprawnie codzienne transformacje: zamianę odruchowego przepraszam, które w naturalny sposób towarzyszy świadomości, że nie chcący się kogoś potrąciło, na tutejsze *pardon me* czy *sorry*; szybkie przeliczanie w pamięci kilogramów na funty i stopni Celsjusza na skalę Fahrenheita. Rutyna, która, jak wiadomo, jest drugą naturą, szybko pozwoliła poczuć się w miarę pewnie.

Bycie imigrantem w Nowym Jorku nie jest tak trudne, jak gdzie indziej na świecie czy gdzie indziej w Stanach. Wielonarodowa mieszanka kultur, która wypełnia nowojorskie ludzkie zoo, nie pozwala czuć się większym dziwakiem i odmieńcem od innych. W końcu inni także różnią się znacząco – twardym akcentem, kolorem skóry, cudacznymi obyczajami, niecodziennym strojem czy fryzurą – od reprezentujących

wyimaginowaną amerykańską normę pięknych ludzi z seriali i reklamówek nadawanych w TV. Tutaj odmienność pielęgnuje się raczej jak coś cennego, własnego, coś, co raczej stanowi o czyjejs wyjątkowości, niż stara się równać do średniej i rozplynać w masie przeciętnych, błyskających imponującym garniturem wielkich białych zębów Johnów Doe.

Z drugiej strony pojęcie narodowości jest tu rzeczą dużo bardziej umowną niż gdziekolwiek na świecie. *Oh, you're Polish? Me too!* – mówił do mnie (promieniejąc najszczerszą radością) zaprzyjaźniony listonosz Vinnie, który za skarby świata nie wymówiłby „chrząszcz brzmi w trzcinie” i nigdy w Polsce nie był, ale z dumą wywodzi swój rodowód od imigrantów z początku ubiegłego wieku, przesiedleńców z Łomży czy Kalisza. *I'm Puerto Rican* – deklaruje Greg, nasz urodzony na Brooklynie kolega, którego rodzice, także urodzeni już w Stanach, nigdy nie nauczyli się hiszpańskiego. *I'm Italian* – mówi mój szef, syn Włoszki i Irlandczyka, ogłaszając, że w Columbus Day nie będziemy pracowali, żeby uczcić wielkie włoskie święto.

To trochę tak, jakby narodowość była w Mieście czymś, co nabywa się z wyboru, jak designerskie ubranie – ze świadomością, że nie będzie można poczynić takiej inwestycji po raz drugi, i po długim przemyśleniu, czy ten wielki emocjonalny wydatek się opłaci. Noszę więc swoją polskość jak kupioną w przyprawie szaleńczej rozrzutności torebkę od Prady, jak coś, na co nie do końca mnie stać, dlatego oszczędzam, używam od święta. Zresztą jakie mam powody, by było inaczej? Nie ma tu żadnej żywej polskiej wspólnoty, do której chciałabym zgłosić akces. Nie czytam już polskiej prasy. Wrzucona w warszawski tłum, potracając kogoś, bez chwili zastanowienia mówię: *excuse me*. I choć zawsze wydawało mi się, że pielęgnuję zwyczaj mówienia czystą, elegancką polszczyzną, w rozmowie na aktualne tematy łapię się na wtrącaniu angielskich zwrotów.

Kiedy to się stało? Kiedy szafa w ścianie stała się *closetem*, który rozbawił do łez moją mamę? Kiedy znalezienie polskiego odpowiednika dla *bossy* stało się nagle kwestią wysiłku? Przecież zawsze podziwiałam i chciałam naśladować znajomych starych krakusów, którzy po trzydziestu latach życia na amerykańskiej prowincji mówią piękną, literacką polszczyzną. Przecież w domu rozmawiamy po polsku, a duża liczba zobowiązań zawodowych każe pielęgnować umiejętność elokwentnego wypowiedania się w rodzimym języku. Więc dlaczego?

Przyjeżdżam, siedzę parę tygodni, opycham się pączkami od Bliklego, podsłuchuję rozmowy na ulicy – i po powrocie zaczynam powoli rozumieć. Nie ma już kraju, z którego wyjechałam; nie ma już nawet języka, który uważałam za ojczysty. W niesłychanie szybkim tempie język, który uważałam za swój, obrósł nowymi, nieznanymi mi słowami, zmutował. Obrażliwe „zajebisty” nagle stało się komplementem. Ludzie, którzy byli moimi najbliższymi znajomymi, wychowani w podobnym otoczeniu, słuchający tej samej muzyki, czytający te same książki, nagle używają nowych słów, których znaczenia ledwie się domyślam. Język, który myślałam, że znam, żyje własnym życiem, dalekim od mojego. Kiedy wydaje mi się, że mówię po polsku, używam zaledwie na wpół wymarłego dialektu nieistniejącego państwa jednego człowieka.

A jednak w miejscu, które z przekonaniem i miłością nazywam domem, robi mi się smutno, kiedy rzucając w słuchawkę telefonu *I'll touch base with you*, zdaję sobie sprawę, że dla mnie to pusta fraza, bo nie mam pojęcia o grze w baseball. Mimo lat karmienia się wyrafinowaną angielszczyzną „New Yorkera” nie zawsze rozumiem dowcipy. I w języku starego kraju, i w narzeczu nowego – żyję w ciągłym pomiędzy, na zawsze jestem cudzoziemką. Gdzie indziej pewnie byłoby mi z tym ciężko, ale na szczęście mieszkam na wyspie, której na drugie imię dano Babel. Pomieszanie języków, to nieustanne,

płynące z każdej strony *blah-blah-blah* i *yade-yade-yade*, jest tu w zasadzie jedynym językiem urzędowym.

## **zielona kropka**

Żeby zrozumieć, czym jest to miejsce – osławione, wyśmiewane, przeklinane przez wielu, którzy tu kiedyś mieszkali lub choćby tylko mieli jakieś interesy – najlepiej przyjechać w sobotę przed południem, kiedy tłumy Polaków zjeżdżają tu na zakupy lub tylko połażyć. Jeszcze lepiej, kiedy to jest sobota przed dużymi świątami, Bożym Narodzeniem albo Wielkanocą. Cała główna arteria dzielnicy, Manhattan Avenue, jest wtedy poobstawiana po obydwu stronach autami na nowojorskich i jerseyjskich numerach, a chodniki zatłoczone stadami rodaków – z dziećmi, z torbami, z komórkami. W takim zagęszczeniu widać jak na dłoni wady i zalety tutejszych Polaków, ich przyzwyczajenia i słabości, ich upodobania i nawet małe, wredne nienawiści (jeśli takie mają). Dużo ich: według najnowszych statystyk w Nowym Jorku mieszka około pół miliona Polaków, większość na Greenpoincie.

Przyjechali tu, najczęściej uciekając od nędzy, bezrobocia i beznadziei małych miasteczek. Z Polski B, gdzie nigdy nic się nie zmienia na lepsze, a jedyną rozrywką jest popatrywanie z okna, co też się dzieje u sąsiadów. Przyjeżdżali od ponad dwudziestu lat i pracowali bardzo ciężko: mężczyźni, zdzierając poszycia azbestowe lub tachając *two-by-fours* na budowach; kobiety, sprząając „na domkach”, najczęściej u bogatych Żydów, oferujących całotygodniową pracę z zamieszkaniami. Pracowali, odmawiając sobie wszystkiego, nie nawiązując swoich pracodawców i samych siebie za upodlenie, w jakim często przychodziło im zarabiać na życie. Niektórzy pili. Innych dobiła azbestoza. Jeszcze inni załamywali się i po paru latach wracali do kraju, z pieniędzmi nie tak wielkimi jak w marzeniach, z którymi jechali do Ameryki, ale dość niezły-